

Napisał: Franciszek Brzyski, lat 11

Franio i Pikuś pod Grunwaldem

W parku było spokojnie jak w czytelni pod gołym niebem. W oczku wodnym obok dostojnie pływała para łabędzi, a na trawniku za ogrodzeniem spacerowały piękne i pyszne pawie. Franio siedział na ławce z nogami podkurczonymi pod siebie, a na kolanach trzymał grubą księgę – „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza. Franio, co prawda chodził dopiero do piątej klasy i nie była to lektura szkolna, ale chłopiec bardzo interesował się średniowiecznym rycerstwem i czytał to opasłe tomisko z wielkim zainteresowaniem i nieukrywaną przyjemnością.

– No dobrze, Zbyszku ... teraz się zaczniesz – mruknął zadowolony, przewracając stronę.

Obok ławki Pikuś – kundelek i przyjaciel Frania – toczył zaciętą walkę z patykiem. Patyk przegrywał zdecydowanie. Ogonek Pikusia – niesforny jak zwykle – wirował w powietrzu, jakby należał do zupełnie innego psa. Nagle piesek zeszywniał. Uszy stanęły dęba.

– Co jest? Łabędzie cię obraziły? – zażartował Franio.

Przy ogrodzeniu oczka wodnego coś się poruszyło. Błysk? Cień? A może tylko wiatr?

– Hau! Hau! HAUUU! – oznajmił Pikuś i ruszył przed siebie.

– Pikusiu! Neeeeee! – Franio poderwał się i pobiegł za nim. Był pewien, że za chwilę pawie stracą cały swój majestat i posypią się pióra. Ogonek psa (zupełnie przypadkiem) zahaczył o klamkę małej furtki. Klik. Furtka uchyliła się... a za nią nie było alejki. Była mgła i wirujące światło.

– To chyba nie jest zwykłe przejście w parku... – zdążył powiedzieć Franio.

To był portal! Przejścia czasoprzestrzenne rządzą się swoimi prawami. Nigdy nie ma pewności kiedy cię wciągną, jak długo będzie trwała podróż między wymiarami i czasem. Nigdy też nie wiadomo, gdzie i jak się taka wycieczka skończy. Tym razem przyjaciele wylądowali miękko na trawie na skraju lasu. W powietrzu unosił się zapach potu i koni. W oddali powiewały chorągwie z Białym Orłem i litewską Pogonią.

– Ojej... – szepnął Franio. – To chyba 1410 rok.

Na polanie roiło się od rycerzy. Zbroje błyszcząły w słońcu, giermkowie poprawiali pasy, podawali hełmy, ostrzyli miecze.

– Cóż to za pacholę w dziwnym stroju? – rozległ się głos.

Przed Franiem stanął młody rycerz.

– Jam jest Zbyszko z Bogdańca – rzekł dumnie. – A tyś kto, młodzieńcze, w takiej... tunice z napisem „Level Expert”?

– Franio. Z... bardzo daleka. A to Pikuś. Specjalista od biegania bez pozwolenia.

Pikuś szczerknął i uprzejmie obwąchał rycerski but.

– Chodźcie – powiedział Zbyszko. – Pokażę wam obóz naszego miłośniwego króla, pana wielkiego, Władysława Jagiełły.

W obozie panowało wyraźne napięcie. Rycerze modlili się, poprawiali rzemienie, sprawdzali broń. Widać było także oddziały litewskie pod wodzą księcia Witolda. Franio rozglądał się uważnie po łopoczących na wietrze chorągwiach. Nagle jego oczy zabłyśły.

– Patrz, Pikuś! – szepnął podekscytowany. – To przecież chorągiew ziemi lubelskiej! A tam... tam jest chorągiew chełmska!

Rozpoznał znaki z regionu: jelenia i niedźwiedzia. W końcu Trawniki, gdzie chłopiec mieszkał, leżały dokładnie w połowie drogi między Lublinem a Chełmem! Serce zabiło mu szybciej.

– To moi! To nasze strony! – powiedział cicho, czując dziwną dumę.

Zbyszko spojrzał na niego z uznaniem.

– A więc i twoja ziemia tu stoi. Dzielnych rodzi wojowników.

Nagle zrobiło się poruszenie.

– Poselstwo zakonne! – rozległ się okrzyk.

Dwaj wysłannicy krzyżaccy podeszli do króla i wręczyli mu dwa nagie miecze.

– Byś miał czym walczyć, jeśli odwagi ci brak – powiedzieli chłodno.

W obozie zawrzało. Król Władysław Jagiełło jednak przyjął miecze ze spokojem.

– Mieczu nam nie brak – odparł poważnie – lecz i te przyjmujemy.

Franio patrzył szeroko otwartymi oczami.

– To te słynne dwa miecze... – szepnął do Pikusia.

Wkrótce podszedł do nich młody mężczyzna o dziwnym akcencie.

– Jam jest Czech Hława, giermek pana Zbyszka – przedstawił się. – Chcesz-li ujrzeć, jakiej broni używamy?

– Pewnie! – Franio aż podskoczył.

Hława pokazał mu groty strzał – ostre, trójkątne, niektóre z zadziorem – oraz belty do kusz, krótsze i cięższe.

– Te do pancerza – wyjaśnił. – A te do koni. Każdy grot ma swoje przeznaczenie.

Franio wziął jeden w dłoń. Był zimny i ciężki.

– To nie są plastikowe strzałki jak z zestawu łucznika – mruknął pod nosem.

– Nie wiem, co to za zestaw – odparł Hława poważnie – lecz sądzę, że nie na wojnę.

Wtem Pikuś znieruchomiał. Warknął cicho.

– O nie... – jęknął Franio.

Pies zerwał się i pobiegł w stronę wzgórza, gdzie stały wojska zakonne. Wpadł między konie. Te spłoszyły się i ruszyły galopem.

Nagle kilka zapadło się w ziemię.

– Wilcze doły! – krzyknął ktoś.

Zdradziecka zasadzka została odkryta. Wieść szybko dotarła do króla. Plan ataku zmieniono – ciężka jazda ominęła zdradliwe miejsce.

– Mądry to znak – rzekł król. – Inaczej wielu by tam poległo.

Franio został wezwany przed króla.

– Za odwagę i pomoc w odkryciu zasadzki pasuję cię na giermka – oznajmił monarcha.

– Serio? To znaczy... tak jest, Wasza Królewska Mość! – Franio wyprostował się jak struna.

Po bitwie, gdy zwycięstwo przypadło wojskom polskim i litewskim, Zbyszko pozwolił Franiowi przymierzyć swoją kolczugę. Metalowe kółka zaszeleściły. Kolczuga miękko opadła aż do ziemi.

– To cięższe niż plecak do szkoły – sapnął Franio.

– A w tym się walczy – odparł Zbyszko z uśmiechem.

Pikuś próbował złapać kolczugę zębami.

– To nie konserwa – zaśmiał się Franio.

Nagle coś chłodnego spadło Franiowi na nos. Otworzył oczy. Siedział na ławce w parku. Książka leżała na kolanach. Obok niego spał Pikuś, zwinięty w kłębek. Deszcz zaczął padać coraz mocniej.

– Szkoda... – westchnął Franio. – To był tylko sen.

Podniósł się, by zamknąć książkę, i wtedy poczuł pod kolanem coś twardego. Sięgnął dłonią. W jego palcach spoczął żelazny grot strzały. Zimny. Prawdziwy.